

## **Michał Głowiński**

**(4 listopada 1934 – 29 września 2023)**

Profesor Michał Głowiński był związany z Instytutem Badań Literackich PAN od 1958 r. W 1976 r. uzyskał tytuł profesora nauk humanistycznych. Przewodniczył Radzie Naukowej IBL przez wiele kadencji. Był współzałożycielem Towarzystwa Kursów Naukowych, swoje prace o nowomowie publikował w drugim obiegu. Naukową summą prof. Głowińskiego jest pięć tomów jego *Prac wybranych* w serii „Klasyki Współczesnej Polskiej Myśli Humanistycznej” pod redakcją Ryszarda Nycza, wydawanej w Krakowie przez Universitas. Są to jednak tylko prace wybrane. Poza ich obrębem pozostają jeszcze liczne książki, artykuły, tomy zbiorowe przez niego redagowane.

Dzieło Michała Głowińskiego przekracza tradycyjne granice dyscyplin humanistycznych, a jego dorobek nie przynależy tylko do obszaru teorii i historii literatury oraz krytyki literackiej, lecz obejmuje także inne dziedziny aktywności naukowej, edytorskiej i pisarskiej. Wymieńmy główne z nich. Po pierwsze, kluczowe dla naukowego profilu prof. Głowińskiego dokonania w dziedzinie nauki o literaturze, przy czym ich pełna prezentacja byłaby zarazem charakterystyką dorobku tej gałęzi polskiego literaturoznawstwa po drugiej wojnie światowej, który można nazwać nowoczesnym. Był fundatorem lub współtwórcą takich nurtów humanistyki, jak polska szkoła strukturalna – teoria komunikacji literackiej – historyczna poetyka kulturowa. Po drugie, pionierskie na polskim gruncie studia nad językiem totalitarnym, nowomową i dyskursem propagandowym, studia o nowomowie i języku propagandy (odznaczające się niebywałą przenikliwością i zachowujące aktualność do dziś), o socrealizmie i pożytkach czytania różnych tekstów plugawych. Po trzecie, jego prace poświęcone doświadczeniu Zagłady, a mam tu na myśli zarówno teksty o charakterze badawczym, jak i autobiograficznym. Po czwarte, fundamentalne dla kształcenia polonistycznego i utrwalania literaturoznawczej kompetencji zespołowe przedsięwzięcia: *Zarys teorii literatury* (napisany wspólnie z Aleksandrą Okopień-Sławińską i Januszem Sławińskim, potocznie przez studentów zwany „trojaczkami”) i *Słownik terminów literackich* (opracowany wraz z Aleksandrą Okopień-Sławińską, Januszem Sławińskim i Te-

resą Kostkiewiczową). Obie pozycje klasyczne i wielokrotnie wznawiane po uzupełnieniach i aktualizacji. Po piąte, proza wspomnieniowa, która była dla Michała Głowińskiego ważnym, by nie rzec konstytutywnym elementem jego twórczej osobowości. Nurt ten zaczyna się od publikowanych z końcem lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku w „Tekstach Drugich”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Tygodniku Powszechnym”. „Tytule”, „Zeszytach Literackich”, „Akcencie”, „Arkuszu”, „Pograniczach” miniatur eseistyczno-autobiograficznych (zebranych potem w osobnych tomach), po prozę wspomnieniową. Cykl ten został zainicjowany w 1998 r. *Czarnymi sezonami* (nominowanymi do Nagrody Literackiej Nike 1999, przełożonymi na szwedzki 2001, czeski 2002, angielski 2005), punkt kulminacyjny miał w opublikowanych w 2010 r. *Kręgach obcości. Opowieści autobiograficznej* (nominacja do Nagrody Literackiej Nike 2011).

\* \* \*

Michał Głowiński był człowiekiem w najgłębszym sensie tego słowa odważnym. Od dzieciństwa towarzyszył mu lęk. Jako dziecko skazany na Zagładę, cudem z niej ocalał, razem z rodzicami. Jednak jak twierdzi: Holokaust można przeżyć, ale nigdy nie można z niego wyjść. Po z górą pięćdziesięciu latach opisał swoje holokaustowe dzieciństwo i pierwsze lata powojenne. Tytułowa formuła tej książki – „czarne sezony” – stała się jedną z wielkich metafor ludzkiego losu, obok „czarnego mleka poranka” ze słynnej *Fugi śmierci* Paula Celana. Pół wieku czyśćca. Pół wieku czekania, aż będzie się gotowym do rozpoczęcia opowieści. Opisanie tego, co dało się uchwycić w „błysku pamięci”, łączy się nieuchronnie ze świadomością porażki. Wielkie są bowiem obszary tego, co bezpowrotnie stracone, bo już niedostępne, zagubione, zagrzebane w niepamięci. Trudno znaleźć w literaturze polskiej bardziej przejmujący przykład bólu, jaki sprawia pamięć o zapomnieniu.

Trzy najstraszniejsze przeżycia z czasów Zagłady: Umschlagplatz, najście szmalcownika i rozgrywana z nim partia szachów oraz sześć dni spędzonych w kopcu na kartofle, w absolutnym zamknięciu i ciemności. Ciemność i strach, lęk przed zamknięciem, lęk przed szaleństwem pozostaną w nim bardzo długo. Chowa się przed światem jak ślimak w skorupie. Czuje się inny, dziwny, gorszy. I wciąż piętnowany, i wciąż zagrożony jako Żyd.

Nie ostygły jeszcze popioły zamordowanego narodu, kiedy na szkolnych lekcjach religii w Pruszkowie słyszy swoisty wykład teologii Holokaustu: to sprawiedliwa kara za bogobójstwo, a boskim wyrokiem nie można się sprzeciwić. Żydzi (wszyscy Żydzi, którzy kiedykolwiek żyli, żyją czy, broń Boże, żyć będą) zabili Pana Jezusa, odebrali więc to, co im się należało. Po takich naukach 13-letni Michał zostaje pobity na szkolnym boisku przez kolegę z klasy – pojętnego ucznia księdza prefekta z Pruszkowa. Ksiądz katecheta dwa lata po wojnie objawiał straszną prawdę o Żydach bogobójcach, o Żydach mordujących niewinne chrześcijańskie dzieci, by wytoczyć z nich krew na macę. Szczerze Żydów nie-

nawidził, bo uosabiali w jego oczach czyste zło. Niczego innego Kościół o Żydach nie mówił przez setki lat. Po z górą pół wieku Michał Głowiński napisze, że ksiądz katecheta „zachowywał się tak, jakby w ogóle Zagłady nie zauważył, jakby o niej nie słyszał, jakby nie zwróciło to jego uwagi, że z ziemi, po jakiej chodzi, zniknęły miliony ludzi”. A jeśli już skojarzył ze sobą wojnę i Żydów, to po to, aby uczniom przedstawić przypowieść o Bożej Sprawiedliwości i działaniu Bożej Opatrzności. Mówił: „Hitler był straszny, bo prześladował naród polski, ma wszakże jedną zasługę – załatwił dla nas (czy za nas) sprawę żydowską”.

Michał Głowiński był człowiekiem odważnym, ponieważ mało kto jak on poznał grozę i lęk, upokorzenie i bezradność, samotność i wyobcowanie. A przecież nie tylko wbrew wszystkiemu zdołał unieść życie, ale potrafił znosić przeciwności, które mu to ocalone życie zgotowało. Dzisiaj to wiemy, bo sam o tym napisał, co znaczyło żyć w kleszczach podwójnego łęku: przed odkryciem żydostwa i przed odkryciem orientacji seksualnej. A więc życie w ukryciu, jak wtedy, w kopcu kartofli czy w piwnicach getta podczas wysiedlenia. Praca naukowa była jego pasją, dawała poczucie spełnienia i satysfakcji. Czytamy więc w *Kręgach obcości*: „młodości nie zmarnowałem”. Ale przecież tuż obok są inne słowa. W wymiarze osobistym czy wręcz egzystencjalnym ukrywanie tego, że jest się gejem, to największy błąd z czasów młodości. „Zatruję sobie młodość, a w istocie ją zmarnowałem” – napisze.

Mierzył się ze światem, znieprawionym i zakłamanym przez język, jakiego używa władza, przemawiając do ludu. Stał się klasykiem teorii nowomowy, termin ten wprowadzając z Orwella do języka naukowego. Rozplątywał kokon kłamstwa i głupoty, który jest groźny, bo oddziela od rzeczywistości. Z benedyktyńską cierpliwością, systematycznie przez ćwierć wieku z paroletnią przerwą notował swoje komentarze do słów wydobytych z „brudnej piany gazet” Polski Ludowej. Wieczorami, przed zaśnięciem, tworzył gigantyczny, jedyny w swoim rodzaju dziennik, którego przedmiotem jest peerelowskie gadanie. Prywatne zapiski stały się świadectwem tamtego czasu i obroną suwerennego rozumu. Opublikował je następnie w tomach: *Marcowe gadanie* (1991), *Peereliada* (1993), *Mowa w stanie oblężenia* (1996), *Końcówka* (1999) oraz notatki z lat 1977–1985 w tomie *Pismak 1963 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach* (1995). Wybór z całości tego demaskatorskiego dziennika ukazał się w 2016 r. pod tytułem *Zła mowa. Jak nie dać się propagandzie*. Analizował nowomowę od lat sześćdziesiątych i tropił jej różne mutacje również po 1989 r., mówiąc w wywiadach i pisząc o recydywie peerelowskiej nowomowy w narodowo-katolickich przebraniach. „To było przedsięwzięcie bardzo osobiste – wyznał w jednym z wywiadów. – Sądziłem, że nigdy za życia tego nie opublikuję. Myliłem się. [...] Uważam też, że to, iż podjąłem taką pracę, było jedną z najlepszych decyzji w moim życiu” („Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 2).

Badał degradujący wpływ totalitarnej ideologii na sztukę, analizując rodzimy socrealizm, a także fundacyjne teksty bolszewickiego komunizmu (*Stalin-czarodziej. O baśni totalitarnej*, 1997; *Sprawa Dzierżyńskiego*, 2010, *Nie puszczać prze-*

szości na żywo! „*Krótki Kurs WKP(B)*” jako opowiadanie mityczne, 1991) czy klasyczny paszkwil antysemicki *Protokoły mędrców Syjonu (Poetyka falsyfikatu politycznego, 2007)*. W tym właśnie studium pisze Głowiński: „warto zajmować się właściwościami językowo-literackimi tekstów, które nie są utworami literackimi, nie mają żadnych walorów estetycznych, a często bywają na kompromitującym poziomie”. Dalej autor wyjaśnia, że chodzi o publikacje, „które odegrały w historii haniebną rolę, a może nie będzie paradoksem, gdy powiem, że warto przede wszystkim poddawać tego rodzaju oglądowi takie właśnie elaboraty. [...] [Aby] dotrzeć do najgłębszych znaczeń tego rodzaju wytworów – i wydobyć na powierzchnię te właściwości, które umożliwiły im odgrywanie tak fatalnej roli”. Ta dyrektywa metodologiczna nabiera wymiaru powinności moralnej i znakomicie charakteryzuje postawę badawczą i etyczną Michała Głowińskiego. W tym postulatcie badania tekstów podłych, obrzydliwych, ociekających nienawiścią, kłamstwem i pogardą staram się być mojemu Mistrzowi i Przyjacielowi wierny.

Wyjście ku innym ze swoimi lękami, ze swoimi tajemnicami, wymaga odwagi. Autobiografia *Kręgi obcości* jest książką odważną. Przygotowana wcześniej publikowaną prozą o charakterze autobiograficznym – *Czarne sezony* (1998), *Magdalenka z razowego chleba* (2001), *Historia jednej topoli* (2003), *Kładka nad czasem. Obrazki z miasteczka* (2006), *Carska filizanka. Szesnaście opowieści* (2016) – zdecydowanie ją przekracza. Nie przestając być, jak tamte książki, mozaiką zapamiętanych obrazów, zawiera wyraźny projekt interpretacyjny całości. Kluczem dla interpretacyjnego projektu zawartego w autobiografii Michała Głowińskiego jest pojęcie obcości. Na ponad pięciuset stronach obserwujemy różne tej obcości wymiary, różne sposoby jej doznawania. Nie jest to jednak opowieść o wyobcowaniu, chociaż stanowiło ono – w różnych swoich postaciach – jedno z dominujących doświadczeń życiowych autora. Ta książka jest dla mnie przede wszystkim świadectwem zmagania się z własnymi słabościami i fobiami, zahamowaniami czy wstydem. Jest dowodem na to, że chociaż lęk może towarzyszyć człowiekowi całe życie, to jednak człowiek wcale nie musi być niewolnikiem lęku. W swojej autobiografii Michał Głowiński jest wierny prawdzie o sobie, a zatem jest autentyczny. Wyzwała się z tego, co sam nazywa kleszczami podwójnego lęku. Jest więc ta książka opisem drogi ku wolności.

Tytuł autobiografii, *Kręgi obcości*, jest – jak wiele tytułów jego książek – znakomity, bo trafia w sedno. A jednak nie mogę się z jego brzmieniem pogodzić. Dla mnie nie pojęcie „obcości”, ale „obecności” jest zasadniczym doświadczeniem spotkania z Michałem Głowińskim. Wciąż korzystam z jego prac, podobnie jak tyłu studentów i badaczy literatury, sztuki, publicznego dyskursu. To silna obecność, nie do zatarcia. To wyrazista indywidualność, osobowość nie do podrobienia. Od z górą czterdziestu lat Michał Głowiński był obecny w moim życiu zawodowym (recenzent mojej pracy magisterskiej, promotor doktoratu, recenzent habilitacji), a także towarzyskim. Spotykaliśmy się na korytarzach Instytutu Badań Literackich w Pałacu Staszica, który nazywał budynkiem paradoksalnym. Spotykaliśmy się u niego w zawałonym książkami i płytami mieszkaniu na ulicy

Batuty (Służew nad Dolinką). Rozmawialiśmy o różnych sprawach, trywialnych drobiazgach i o „rzeczach naprawdę wielkich”. Teraz – w obliczu jego śmierci, mam przeświadczenie, że ta rozmowa się nie skończyła, ona tylko przybrała inną formę, rozgrywa się w innym wymiarze. To jest jak koncert wewnętrzny, o którym mówił Michał...

Jacek Leociak

\* \* \*

Jacek Leociak: Wielokrotnie podkreślasz, że jesteś człowiekiem bez słuchu. Czy tak?

Michał Głowiński: Tak, tak, to jest prawda.

JL: W takim razie powiedz mi, jak to jest możliwe, jak można – bez słuchu – ponad siedemdziesiąt lat z taką pasją, tak wiernie i systematycznie trwać przy muzyce, słuchać muzyki i zdobyć taką wiedzę o muzyce?

MG: Nie wiem. Ja przecież nie umiem niczego zaśpiewać, ale wydaje mi się, że za młodu miałem doskonałą pamięć muzyczną. Usłyszałem utwór jeden czy dwa razy i jeśli miał jakieś charakterystyczne cechy, a wybitne utwory mają, to go poznawałem. Więc coś we mnie jednak było.

JL: Piszesz, że od pewnego momentu trwał w Tobie nieustający koncert wewnętrzny.

MG: On trwa do dzisiaj.

[fragment rozmowy, jaką przeprowadziłem z Michałem Głowińskim, *Autobiografia musi być kompromisem*, „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 2].

\* \* \*

Publikujemy niewielki wybór notatek profesora Michała Głowińskiego o nowomowie. Prowadził je przez ćwierć wieku, zapisując swoje komentarze do propagandowych formuł prasy peerelowskiej. Pracę rozpoczął w 1966, zakończył w 1989 r. Opublikowane zostały cztery tomy i pół – jak zaznacza autor: *Marcowe gadanie* (1991), *Peereliada* (1993), *Mowa w stanie obłąkania* (1996), *Końcówka* (1999) oraz *Pismak 1963 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach* (1995).

Przytaczane teksty pochodzą z książki *Zła mowa. Jak nie dać się propagandzie* (Warszawa: Wielka Litera, 2016), zawierającej wybrane fragmenty wymienionych tomów.

## Żyd

Z użyciem tego słowa łączą się różne komplikacje. W pewnych sytuacjach stało się ono tabu. Kiedy ktoś przychylnie usposobiony wobec jakiejś osoby chce powiedzieć, że jest ona Żydem, często użyje jakichś wyrażen zastępczych, peryfraz

(nie użyje słowa „izraelita”, bo jest to archaizm, nie powie także „wyznania mojżeszowego”, bo sprawy religijne są w tym wypadku mało istotne). W pewnych okolicznościach może się odwołać do znaczącego przemilczenia. Jest to zjawisko niezmiernie charakterystyczne. Świadczy co najmniej o tym, że o fakcie bycia Żydem w towarzystwie się nie mówi. Ten stan rzeczy przede wszystkim jest pozostałością z okresu okupacji; wtedy publiczne powiedzenie o kimś, że jest Żydem, równało się skazaniu go na śmierć. Pookupacyjny spadek widoczny jest także w czym innym: sami Żydzi na ogół nie afiszują się ze swym pochodzeniem, a niektórzy wkładają wiele wysiłku, by ten fakt ukryć. Nazwanie kogoś Żydem byłoby jawnym zdekonspirowaniem. Na skutki nie trzeba było długo czekać: w przeciętnej świadomości, w tym także – a może przede wszystkim – ludzi młodych, którym nie dane było się zetknąć z Żydami w ich odrębności, utarło się przeświadczenie, że bycie Żydem to fakt wstydlivy, który właśnie należy przemilczeć, jeżeli nie żywi się złych intencji. Przekonanie to znajduje swój wyraz w prasie. Kiedyś czytałem w „Ruchu Muzycznym” artykuł o wybitnym paryskim dyrygencie, teoretyku muzyki i pedagogu Deutschu; było w nim takie mniej więcej zdanie: „jest Żydem, ale wcale się tego nie wstydzi”. Z całego artykułu wynikało, że autora nie można posądzać o złą wolę i przesady. Dla niego, który znał prawdopodobnie tylko stosunki polskie, to, że Żyd się wstydzi, iż jest Żydem, było czymś oczywistym.

2 VI 1967

## Naród

Słowo to występuje w uwikłaniach dwojakiego rodzaju; zróżnicowania w jego użyciu odpowiadają – jak się zdaje – dwóm grupom walczącym w partii o władzę. W wersji pierwszej naród oznacza bliżej nieokreśloną całość społeczeństwa, która posłuszna i zgodna jak chór w operze, ma przykładowo odpowiadać na zadane kwestie. W tej roli jest składnikiem niezliczonej liczby frazesów – w rodzaju „naród potępia” (ta zbitka pojawia się najczęściej). Naród w wersji drugiej to przede wszystkim więź plemienna, mitologia krwi i gleby, a także swoiście preparowana przeszłość. Tutaj powraca więc skrajnie prawicowe, nacjonalistyczne, a czasem wręcz faszystowskie rozumienie narodu. W obrębie tego rozumienia podstawową rolę gra przeciwstawienie: Polak – Żyd. Pochodną jest zamiłowanie do przymiotnika „narodowy”, który często zastępuje bardziej neutralne słowo „polski”, a także skłonność do demagogicznie nadużywanego określenia „antynarodowy”. Obie te wersje mają jedną cechę wspólną: zmiernają do zidentyfikowania spraw narodu z aktualnymi w danym momencie interesami partii. Słowo to jest używane w toku dyskursu propagandowego w ten sposób, by przekonać czytelnika, że jeśli coś jest przeciw niej, jest tym samym przeciw narodowi. Tak np. – z pozoru nie wiadomo dlaczego – przeciw narodowi (oczywiście polskiemu; naród jest tu zawsze ekwiwalentem Polaków) są Żydzi, którzy wyrazili radość ze zwycięstwa izraelskiego podczas wojny sześciodniowej.

5 X 1968

### Kirszensztejn-Szewińska

Ta najwybitniejsza polska sportsmenka stała się przedmiotem ataku w audycji telewizyjnej pt. *Porażka idola*; zarzucono jej, że celowo upuściła pałeczkę w sztafecie, by w ten sposób pozbawić Polskę medalu olimpijskiego (jeden medal zdobyła zresztą w innej konkurencji). Była to więc jawna insynuacja. A że dotyczyła osoby popularnej, spotkała się z negatywnym przyjęciem w prasie. Nie to jest jednak ważne. Interesują mnie manipulacje dwoma nazwiskami. Kirszensztejnowna zdobyła sławę pod swym panięńskim nazwiskiem, jest ono znane i w Polsce, i w świecie. Wyszła niedawno za mąż, prasa zaczęła więc ją nazywać po prostu Szewińską, tak jakby pierwsze nazwisko, znane powszechnie, w ogóle nie istniało. Reprezentantka Polski nie może przecież nazywać się tak podejrzanie. Przypadek Kirszensztejnowny jest szczególny; przysporzyła ona Polsce tyle sportowej sławy, że chciano by raczej wyeliminować złe nazwisko, stąd kariera nazwiska Szewińska.

Leszek Kołakowski podobno powiedział w czasie olimpiady: „Szewińska zdobyła złoty medal, Kirszensztejn zgubiła pałeczkę”.

8 I 1969

### Kohorty Dajana

Każdy Żyd jest symbolem zła, ale – według naszej socjalistycznej propagandy – Dajan to najgorszy z najgorszych, samo zło, sama zbrodnia, sama reakcja itd. Jego nazwisko przestało być w istocie imieniem własnym, wymienia się je niemal wyłącznie jako symbol. Wszystkie najbardziej oskarżające słowa mogą się łączyć z tym nazwiskiem: zbrodniarz, ludobójca, morderca, hitlerowiec, jastrząb itd. Nie celują one tylko w niego, celują w Żyda; to on właśnie stał się tym Żydem *tout court*. Joseph Gabel trafnie zwrócił uwagę, że antysemita, gdy mówi o narodzie żydowskim, lubią używać liczby pojedynczej: Żyd. Dajan, tak obiszczekiwany, stać się miał właśnie typem empirycznym Żyda, uosobił wszystko, co antysemita Żydom zarzuca. Mały cytat dla poparcia tych rozważań. Sławetny Krasicki pisze o audjencji żydowskiego działacza Goldmanna u papieża. Prosić on miał „[...] o rzecz bądź co bądź nie byle jaką: by głowa duchowa chrześcijaństwa pobłogosławiła kohorty Dajana mordujące bezbronną ludność arabską i pustoszące ogniem i mieczem jej wioski...” („Życie Literackie” 1969, nr 3). „Kohorty Dajana”, a więc już nawet nie wojsko, nie soldateska, ale po prostu dzikie zgraje, hordy, bandy. To dobra próbka tego stylu. Odżywa tu jeszcze jeden mit: hucpiarz Żyd namawia papieża, by tę zbrodniczą zgraję pobłogosławił. Jest to charakterystyczne; przede wszystkim partyjni antysemita, gdy piszą o Żydach, lubią się stroić w katolickie piórka. Krasicki, autor kilkudziesięciu paszkwilów przeciw Watykanowi, czuje się obrażony, że Namiestnikowi Chrystusowemu na ziemi ktoś śmiał zaproponować coś tak strasznego. W tym fantazyjnym opisie audjencji odżywa prastary chrześcijański archetyp: kuszenie świętego przez

diabła. Tu świętym jest papież, diabłem Żyd Goldmann. Diabeł nie musi się nawet wcielać, ludowe tradycje już dawno postawiły znak równości między nim a Żydem. Diabeł kusi więc świętego, by przeszedł na jego stronę, porzucił sprawę aniołów i pobłogosławił samego Belzebuba – Dajana wraz z jego piekielnymi zastępami – kohortami.

Janusz Szpotański, który ma doskonałe wyczucie aktualności i świetnie potrafi operować oficjalnymi symbolami, napisał pono w więzieniu nową piosenkę, która tak się zaczyna:

*Pod Mickiewicza pomnikiem  
spotkał się Dajan z Michnikiem.*

Nie znam dalszego ciągu, ale ten fragment wystarczy. Już tutaj sparodiowane zostały symbole, którymi operuje propaganda.

18 I 1969

### **My, Polacy**

Ta formułka powraca teraz często. Ci, którzy jej używają, usiłują wmówić, że przemawiają w imieniu całego narodu, że wyrażają poglądy wszystkich, a więc są czymś w rodzaju koryfeuszów chóru. W konsekwencji powstaje fałszywy podmiot zbiorowy, będący jednym z przejawów demagogii. „My, Polacy” używa się zwłaszcza wtedy, gdy chce się wyzyskać rzeczywiste emocje narodowe, przede wszystkim zaś, gdy pragnie się nadać pożądaną politycznie sens doświadczeniom okupacyjnym. W artykule o śmierci Jana Palacha dziennikarz oświadcza: „My, Polacy, wiemy, co to znaczy cenić życie ludzkie” („Życie Literackie” 1969, nr 5). Zdanie to jest tak ogólne, że w istocie – wyrwane z kontekstu – nie znaczy nic. Pojawia się jednak zaraz charakterystyczne „ale”. W ostatnich miesiącach formułka ta pada zwłaszcza w artykułach antysemitycznych („My, Polacy, pomagaliśmy w czasie okupacji Żydom, a syjoniści teraz organizują antypolskie hece”) i w publikacjach uzasadniających interwencję w Czechosłowacji. Z tej drugiej okazji pisze się zwykle, że my, Polacy, mamy takie doświadczenia historyczne, które nie pozwoliły nam obojętnie patrzeć, jak Niemcy Zachodnie poszerzały swoje wpływy w Czechosłowacji. Zdania zaczynające się od „my, Polacy” odwołują się z reguły do najprostszych mitów narodowych, do najbardziej stereotypowych wyobrażeń na temat własnej wspólnoty. Często służą one utwierdzeniu czytelnika w najbanalniejszej megalomanii narodowej.

3 II 1969



## Masoneria

W istocie było raczej dość dziwne, że słowo to dotąd nie pojawiało się w wypowiedziach antysemitycznych. Według starych pravicowych stereotypów masoneria i Żydzi to dwa solidarnie działające czynniki rozkładu i niepokoju, nieustannie atakujące otwarcie i zza węgła ład społeczny. Stereotyp Żydów i masonów wspólnie spiskujących przeciw ustalonemu porządkowi świata musiał jednak powrócić; wydaje się zresztą, że wręcz nieuchronny stał się powrót wszystkich stereotypów, jakie występują w *Protokołach mędrców Syjonu*, najklasyczniejszym wzorze wypowiedzi antysemitycznych naszego stulecia. W tym konkretnym przypadku o nadrobienie zaniedbania postarał się Kazimierz Sidor, jeden z głównych publicystów moczarowskich. Pisze on mianowicie o zeszłorocznym buncie studentów francuskich jako o spisku żydowskim, montowanym m.in. z pomocą masonerii. Ten fragment artykułu jest tak charakterystyczny i tak bliski *Protokołom*, że przepisuję go dla upamiętnienia: „W tym samym numerze «L'Express» J. Dugesne, omawiając seminarium «Judaizm i rewolucja» w aspekcie postaw profesorów, a przede wszystkim kierownika SNE-sup2 Geismara («wściekły nr 2» po Cohn-Bendicie), mówi o olbrzymim udziale Żydów – studentów i niestudentów w «rewolucji majowej». Autor pisze, że katolicy okupowali katedry, Żydzi natomiast nigdy się nie targnęli na synagogę [...], nigdy nie wystąpili przeciwko kapitalizmowi żydowskiemu. Faktem jest, że stosunek de Gaulle'a do agresji izraelskiej przeciwko narodom arabskim, wstrzymanie dostaw «mirage» wywołało falę nienawiści do Francji gaullistowskiej wśród syjonistów. Rewolta studentów wymierzona w reżim gaullistowski była w pełni wspierana przez syjonistów, którzy mając ludzi we wszystkich partiach, organizacjach, w prasie, wydawnictwach, finansach, działali przez wywiad i pieniądze, manipulując za pomocą masonerii, którą całkowicie opanowali, zmierzali do obalenia de Gaulle'a i jednocześnie do osłabienia Komunistycznej Partii Francji. Po ustąpieniu de Gaulle'a ambasador Francji przy ONZ ujął akcję syjonizmu w lapidarnym stwierdzeniu: «De Gaulle został usunięty przy pomocy żydowskich pieniędzy». [...] Jednym z głównych doboszy antykomunizmu stał się J.P. Sartre. Pisarz ten przeszedł dziwną ewolucję. Jeszcze przed agresją izraelską J.P. Sartre znalazł się w Egipcie. Nic się Sartre'owi nie podobało w tym kraju; ani reforma rolna, ani walka z pustynią, ani tama assuańska, ani nacjonalizacja przemysłu, industrializacja i walka z analfabetyzmem. Wprost z Egiptu udał się do Izraela, skąd pisał peany, epepeje zachwytu. Sartre, firmując miesięcznik «Temps Modernes», zostawił kierownictwo Lanzmannowi, który prowadzi na jego łamach obronę interesów syjonizmu i Izraela, przekształcając pismo w trybunę napaści na komunizm, ZSRR i Polskę, każąc ją za «antysemityzm» (Kazimierz Sidor, *Rewolta studentów we Francji*, „Życie Literackie” 1969, nr 51/52). Wszystko jest tu tak przejrzyste i jasne, że nawet nie ma potrzeby komentowania. Zastanawia tylko to tak charakterystyczne połączenie języka najskrajniejszej prawicy z językiem stalinizmu.

23 XII 1969

## Żydzi polscy – Żydzi z Polski

Artykuły Wacława Szafrąńskiego, publikowane w „Życiu Literackim”, były najgłośniejszymi tekstami antysemitycznymi tej jesieni (cykl ten nie został zresztą ukończony, zapowiadano dalsze jego części, dotychczas jednak się nie ukazały; czyżby nawet partia uznała je za nazbyt skandaliczne na „obecnym etapie”?). W przeglądzie prasy opublikowanym w „Prawie i Życiu” artykuły te przyjęto bardzo gorąco, nie szczędzono autorowi komplementów, sformułowano wszakże jeden zarzut. Tow. Szafrąński mówi mianowicie o Żydach polskich; jest to formuła błędna, gdyż należy mówić o Żydach z Polski. „Żydzi polscy”! – to wręcz *contradictio in adiecto*. Takiej refleksji językowej nie powstydziliby się najgorszy żyletkarz z lat trzydziestych, nie wiem zresztą, czy i wówczas nie proponowano, by o Żydach polskich nie mówić. Nożowy antysemita z „Życia Literackiego” skarcony został za niekonsekwencję.

26 IX 1970

## Rasistowski

Ciekawe byłoby zbadanie, w jakich kontekstach w Polsce ostatnich lat mówi się o rasizmie, w jakich kontekstach określa się kogoś jako rasistę, kogo kwalifikuje się przymiotnikiem „rasistowski”. Ktoś może powie w przyszłości, że jest to gorzki paradoks, ale słowa te stosują się przede wszystkim do Żydów; ma to swoją wymowę w kraju, w którym w latach 1967–1969 rządziły w praktyce ustawy norymberskie, w kraju, w którym węższono, kto jest Żydem, a kto nie, w którym się zastanawiano, jaką kto ma babkę. O żydowskim rasizmie pisze Putrament w reportażu ogłoszonym w „Życiu Warszawy” (numer z 17–18 stycznia). Zawsze przejmuje on najbardziej obskurancie wątki i postawy. Nie oszczędził sobie – za przykładem Walichnowskich, Dziedziców, Żeromskich (nie Stefan!), Gontarzów i innych koryfeuszy antysemitycznej pisaniny porównywania Żydów do hitlerowców. Cytat wystarczy: „Polityka izraelska ostatnich lat, sprawność międzynarodowej organizacji syjonistycznej, krańcowość ich religianckiej i rasistowskiej polityki każą wątpić o «zdrowym rozsądku» historii. Znacznie bliższa prawdy jest zasada: «zły pieniądz wypiera lepszy». Po straszliwej tragedii Żydów europejskich za drugiej wojny światowej cóż oni wybrali za przykład, gdy dorwali się do własnego państewka? Straszliwą zasadę hitlerowską: łączenie sytuacji jednej ze stron w sporze z funkcją sędziego, a nawet kata”. To „państewko” jest też charakterystyczne: pisze się o nim zawsze jako o okrutnym agresorze (robi to także Putrament), ale pragnie się wzbudzić pogardę również innymi środkami, choćby przez takie deminutywy.

18 I 1971

## Piąta kolumna

O ile wiem, formuła ta powstała w latach trzydziestych, w czasie wojny domowej w Hiszpanii – i była dziełem prawicy. Komunizm jednak sobie ją przyswoił i z upodobaniem nią operuje. Nie pamiętam, czy posługiwano się nią w okresie stalinowskim, pamiętam zaś świetnie jej karierę pod koniec lat sześćdziesiątych. Użył jej Gomułka w słynnym przemówieniu na zjeździe związków zawodowych 19 czerwca 1967, przemówieniu, będącym właściwą inauguracją Marca. Odnosiła się ona do Żydów, nazywanych syjonistami, którzy w Polsce Ludowej stanowią piątą kolumnę, bo sympatyzują z agresywnym Izraelem, najeżdżającym na państwa arabskie. I potem do Żydów przede wszystkim ją stosowano. O piątej kolumnie przypomniał sobie nieoceniony Albin Siwak w przemówieniu wygłoszonym na II Plenum (odbyło się ono 11 sierpnia). Głosił on, że w Polsce przedwojennej piątą kolumnę stanowili obcoplemieńcy: Niemcy, Żydzi, Litwini i Ukraińcy, teraz zaś są nią ci wszyscy, którzy krytykują partię, przede wszystkim – „Solidarność”. Podobne twierdzenia, aczkolwiek trochę inaczej sformułowane, pojawiają się w takich partyjnych gadzinówkach, jak „Rzeczywistość” i „Płomień”, jednakże bodaj po raz pierwszy zostały one wygłoszone na tak wysokim partyjnym gremium bez ogródek. Nawiążę do formuły Stefana Bratkowskiego, o której pisałem przed kilkoma tygodniami: przemawiać siwakiem. Tak mówi nowy członek politbiura, ale przecież daje on tylko swój głos innym, powtarza tezy najskrajniejszej konserwy partyjnej i – przede wszystkim – bratnich partii.

18 VIII 1981

## Prawdziwi Polacy

Wiele pojawiło się teraz istot – prawdziwych. Są prawdziwi komuniści bądź – co na jedno wychodzi – prawdziwi marksiści-leniniści. Są też prawdziwi Polacy, ci ze stowarzyszenia „Grunwald”, ale nie tylko – tak określono także nacjonalistyczną grupkę, która uformowała się przy mazowszańskiej „Solidarności”, skądinąd wbrew większości przywódców regionu. Prawdziwi komuniści to ci, którzy chcą przestrzegać bez żadnych korektur rytuału radzieckiego, uczestnicy różnego rodzaju forów czy seminariów marksistowsko-leninowskich; ci, dla których partia w swej obecnej postaci to organizacja odchodząca od ideowych principów, uległa, słaba i skłonna do niesłusznych kompromisów. Przeciwnostwem prawdziwych marksistów są więc ci wszyscy, którzy nie chcą odpowiedzieć na polskie wydarzenia – siłą. Tutaj przeciwstawienia są jawne i nieukrywane. Zresztą – w myśl tego typu rozumowania – niektórzy prawdziwi Polacy są zarazem prawdziwymi komunistami. Taka jest ideologia „Grunwaldu”, łącząca nacjonalistyczny frazes ze służalczością wobec Rosji i z tradycjami stalinowsko-ubeckimi. Kto jednak jest przeciwieństwem prawdziwego Polaka, owym Polakiem nieprawdziwym? Odpowiedź jest jednoznaczna, aczkolwiek często nieformułowana bezpośrednio. Jest nim Polak pochodzenia żydowskiego lub po

prostu – Żyd. Nie musi być ona zresztą jawnymi słowy precyzowana, takie ujęcie sprawy narzuca sam język, język w którym utrwałała się tradycja antysemicka. Narzuca w sposób całkiem spontaniczny i bezrefleksyjny. Idea prawdziwego Polaka eksploatowana była przez okres pomarcowy, a do tego łączono ją czasem z koncepcją prawdziwego katolika. Grupa, która uformowała się przy „Mazowszu” i której ideologiem jest Antoni Macierewicz, nie nazwała się sama – jak się dowiedziałem – prawdziwymi Polakami, uczynili to jej krytycy, ale nazwa się przyjęła i funkcjonuje. W wersji komunistycznej prawdziwy Polak to ten, który podporządkowuje się władzy, kocha Związek Radziecki, bez zastrzeżeń identyfikuje się z systemem; w ujęciu ideologów typu Macierewicza prawdziwy Polak to ten, kto kontynuuje tradycje dawnego nacjonalizmu.

8 XI 1981

### Ludzie niewiedomego pochodzenia

Sytuacja już na tyle dojrzała, że Żydzi potrzebni są od zaraz, Żydzi jako symbole zła, których działaniami, podstępными i niegodnymi, wytłumaczyć można wszystkie niepowodzenia, ku którym można by skierować nienawiść i w ten sposób odciągnąć społeczną uwagę od tego, co rzeczywiste i istotne. Próby tego rodzaju ujawniały się już kilkakrotnie po Sierpniu (wydarzeniem najbardziej znaczącym był w tej materii wiec na Koszykowej w rocznicę Marca). Wczoraj Warszawa obklejona została patriotycznym manifestem (z wielkim orłem w koronie), podpisanym przez pięć osób znanych z działalności patriotyczno-opozycyjnej (zapamiętałem nazwiska Emila Morgiewicza, Antoniego Macierewicza i Wojciecha Ziemińskiego). Już rano dowiedziałem się w Instytucie, że tekst ten jest falsyfikatem. Wiadomo, że metodą tzw. fałszywek ubecy posługują się od dawna i bez skrupułów, pisze o tym choćby Marian Brandys w swych wspomnieniach o działalności KOR-u. Kilka godzin później przeczytałem ten tekst na Nowym Świecie. Kiedy stałem w grupie innych ciekawskich, jakiś przechodzień powiedział nam: nie czytajcie tego, jest to tekst nieautentyczny, sprokurowany przez wiadomo kogo. Nie wiem, czy świadome były tego inne osoby, które się przed tym plakatem znajdowały, czy też dopiero powiadomił je o tym nieznanomy mężczyzna. Nie miałem w tej materii żadnej wątpliwości – i to nie tylko dlatego, że dowiedziałem się o tym rano. Styl tego elaboratu był najwyraźniej stylem ubeckim, nawiązującym do dobrze ukształtowanego wzoru. Wzór ten można określić jako „styl prawdziwych Polaków”, znany z Marca czy z wiosny roku 1977, kiedy rozpętała się ideologiczna kampania. Ci „prawdziwi Polacy” nie są przedstawiani jako komuniści, przeciwnie, najczęściej występują w roli gorliwych katolików i patriotów w dawnym stylu. I jako tacy popierają władzę, potępiają knowania jej przeciwników, a przede wszystkim – obcych, to znaczy – Żydów. I ten styl właśnie odżył w patetycznym tekście przypisanym pięciu znanym działaczom opozycji. Mówi się w nim o Żydach. Z pozoru wątek ten jest prawdopodobny, skoro w znanym przemówieniu Mariana Jurczyka pojawiły

się motywy antysemitki, a w regionie „Mazowsze” powstała grupa, której tego rodzaju emocje nie są obce. Samo słowo nie pada, jednakże peryfrazą „ludzie niewiadomego pochodzenia” jest jednoznaczna. To oni, różniący się od nas wiarą, tradycjami, w istocie – wszystkim, odgrywają złowrogą rolę w naszym życiu, musimy ich zdemaskować, ograniczyć działalność, powiedzieć, kto jest kto. Wątki znane z Marca aż nadto dobrze. Musimy się więc od tych ludzi obcego pochodzenia wyzwolić. W Polsce nie ma już wprawdzie Żydów, ale należy ich znaleźć; trzeba wprowadzić w ruch mechanizm, który znakomicie pokazał Max Frisch w granej także w Polsce sztuce *Andorra*. Tego typu antysemityzm w kraju bez Żydów kieruje się w małym stopniu przeciw Żydom, choć w wielu przypadkach bywa wyrazem poważnie żywionych przekonań. Zwrócony jest przeciw Polakom, przeciw wszystkim, przeciw społeczeństwu. Chodzi o zabagnienie sytuacji, skompromitowanie wielkiego ruchu. Jak sądzę, ten manifest, w którym taką rolę gra sprawa „ludzi niewiadomego pochodzenia”, ma służyć kilku różnym celom. Przypisanie go działaczom, którzy eksponują postawy patriotyczne w tradycyjnym stylu, ma całą rzecz uprawdopodobnić, ale zarazem – działaczy tych skompromitować, przede wszystkim wobec zagranicy (sugerowanie, że jest on autorstwa działaczy typu Kuronia, mijałoby się z celem, gdyż w tym swoistym rozumieniu to oni właśnie są „Żydami”). Tak więc przedstawia się cel pierwszy: obrzydzić ruch społeczny, pokazać światu, uczulonemu na antysemityzm, z kim ma się tu do czynienia. Cel drugi to zwrócenie uwagi społeczeństwa na Żydów tak, by nie myślało o sprawach istotnych. Cel trzeci: antysemityzm jest elementem walk wewnątrzpartyjnych (wystarczy przypomnieć wypowiedzi Siwaka o piątej kolumnie czy pisaniny „Rzeczywistości”), „ludźmi niewiadomego pochodzenia” mogą być pewni członkowie establishmentu, chodzi więc o to, by przeciw nim skierować ogólną nienawiść.

12 XI 1981

### Oberammergau

Gilbert Rappaport, amerykański slawista interesujący się językiem propagandy, zapytał mnie, dlaczego w sprawozdaniu z akademii zorganizowanej w rocznicę powstania w getcie warszawskim tak mało mówi się o powstańcach, a tak dużo o Polakach, którzy nieśli Żydom pomoc w czasie okupacji (chodziło o sygnowany przez PAP artykuł *Uroczysty wieczór w rocznicę powstania w Getcie Warszawskim*, „Trybuna Ludu” nr 92 z 21 kwietnia). W istocie, przesunięcie akcentów musi się w tym tekście rzucać w oczy. Mnie już ono jednak nie zdziwiło, zdaję sobie bowiem sprawę, że w propagandzie co najmniej od połowy lat sześćdziesiątych obowiązuje zasada, którą można tak sformułować: kiedy w związku z okupacją mowa o Żydach, kiedy mowa o zagładzie, należy jak najmniej mówić o Żydach, trzeba zaś uwidatniać rolę tych, którzy ich ratowali. W omawianym sprawozdaniu działanie tej reguły zyskuje postać klasyczną. „Tragedię narodu żydowskiego przypomnieli Marian Fuks. Podkreślił bohaterstwo Polaków niosą-

cych pomoc Żydom. Za ten czyn ponad 1600 Polaków otrzymało przyznawane przez Instytut Pamięci Narodowej Yad Vashem w Izraelu medale Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Nie wiem, czy takie proporcje występowały w referacie Fuksa, ale to jest tutaj nieważne, liczy się fakt, że o tym właśnie czytelników zechciał poinformować PAP. Podobny motyw pojawił się także w streszczeniu przemówienia Kąkola, obecnie dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – Instytutu Pamięci Narodowej (tak brzmi pełna nazwa tej instytucji). I tutaj ujawnia się nowy wątek: główne przemówienie na uroczystości upamiętniającej powstanie w getcie wygłosił człowiek, który w latach marcowych był jednym z naczelnych ideologów antysemityzmu partyjnego, autor wielu publikacji, które określić można jednym tylko przymiotnikiem – haniebne. I znowu nie jest ważne, czy Kąkol jest przekonany antysemitą, być może nie jest i w Marcu wykonywał powierzone mu przez partię zadanie, tak jak wykonywał w swej wieloletniej działalności dużo innych poruczeń. Być może, iż wtedy uznał, że należy być antysemitą i zajmować się antyżydowską propagandą, skoro taką właśnie linię przyjęła partia. Teraz obowiązują w tej dziedzinie inne zalecenia, a więc można – nie tłumacząc się z tego, co się robiło poprzednio – wygłaszać przemówienia na uroczystości upamiętniającej bohaterskich żydowskich powstańców. Nie wchodzi tu w grę takie kategorie, jak odpowiedzialność za to, co sygnowało się własnym nazwiskiem, konsekwencja, wierność sobie itp., nie mieszczą się one po prostu w granicach mentalności komunistycznej, są w jej obrębie nieistotne.

To żalosne Oberammergau nie ogranicza się do przesunięcia akcentów i występu Kąkola, pojawia się jeszcze trzeci element. W sprawozdaniu czytamy: „Odczytano tekst depezy nadesłanej przez Prezydium radzieckiego Komitetu Antyjsyjonistycznego, który głosi: Z dumą obchodzimy razem z wami 44. rocznicę bohaterskiego powstania i sprzeciwu wobec faszystowskiego okupanta. Oddajemy hołd i składamy wyrazy głębokiego szacunku bohaterom Warszawskiego Getta”. I to już jest ponurą groteską, jeśli się zważy, że ten komitet powołany został w czasach Breżniewa, by maskować sowiecki antysemityzm (w jego skład wchodzi głównie różnego rodzaju reżimowi Żydzi).

23 IV 1987